

prof. **Nikołaj Iwanow**

Państwo polskie a „operacja polska” NKWD 1937–1938

Wielki Terror w Związku Sowieckim pochłonął prawie 200 tys. polskich ofiar. Paradoksalnie, w dzisiejszej Polsce wiedza o tej zbrodni nie funkcjonuje w świadomości społecznej. Jedyną organizacją na świecie, która od połowy lat dziewięćdziesiątych konsekwentnie dąży do wskrzeszenia pamięci o „operacji polskiej” NKWD, jest moskiewski „Memoriał”, od lat prowadzący kartotekę ofiar Wielkiego Terroru. Wśród zebranych i udokumentowanych fiszek znajduje się ok. 20 tys. sylwetek Polaków. W Polsce dopiero teraz zaczyna się praca nad upamiętnieniem ofiar tej zbrodni.

Przyczyna tego stanu rzeczy leży przede wszystkim w tym, że za „operacją polską” stał jeden z najbardziej bezwzględnych i okrutnych totalitaryzmów XX w., który w ciągu całej historii swego istnienia posługiwał się kłamstwem jako podstawowym narzędziem polityki państwowej. „Operacja polska” i inne operacje narodowościowe w okresie Wielkiego Terroru stanowiły element stalinowskiego rządzenia krajem. Był to proces całkowicie regulowany. Wszystkie najważniejsze etapy „operacji polskiej”, jej podstawowe zadania, metody i środki represyjne normowano odpowiednimi ustawami, postanowieniami i rozkazami rządu, Biura Politycznego partii i NKWD. Najważniejszą rolę w tym procesie odgrywały jednak wola i sposób myślenia jednego człowieka – Józefa Stalina.

W kierowaniu procesem terroru Stalin wykazywał się wyjątkową wnikliwością i pracowitością. Skrupulatnie analizował materiały związane z działalnością wysokich działaczy partyjnych, kierownictwa Armii Czerwonej, szefostwa najważniejszych gałęzi gospodarki narodowej – w jego rozumowaniu potencjalnych konkurentów w grze o władzę absolutną. Osobiście wyznaczał główne kierunki represji, wskazywał, kogo trzeba zniszczyć, a kogo oszczędzić. Rzeczywiste winy tej czy innej osoby, ważnej w życiu politycznym kraju, nie odgrywały przy tym żadnej roli. O winie stanowił sam Stalin, wydając polecenie aresztowania konkretnej osoby lub odpowiednie pozwolenie dla organów NKWD. Represje wobec setek tysięcy zwykłych

ludzi – Polaków i przedstawicieli innych narodowości – stanowiły natomiast domenę organów partyjnych i NKWD. Stalin nie wnikał w detale masowych represji, zachęcał jedynie swych podwładnych do jeszcze większego zaangażowania w działalność maszyny terroru, do zwiększenia limitów aresztowanych, stosowania coraz ostrzejszych środków prześladowania ofiar.

Świadomie stworzył przy tym system powszechnej współzależności oprawców. Funkcjonariusze sowieccy oraz pracownicy NKWD wszystkich szczebli – zaangażowani w przeprowadzanie represji – powoli stawali się „zakładnikami terroru”, których w razie potrzeby Stalin mógł oskarżyć o zbrodnie dokonane wedle jego wskazówek. Zarówno „operacja polska”, jak i inne akcje represyjne Wielkiego Terroru prawie zawsze kończyły się oskarżeniem i zgładzeniem wszystkich ich wykonawców.

Stalinowska maszyna Wielkiego Terroru mimo licznych trudności i problemów działała stosunkowo sprawnie. Po upadku Związku Sowieckiego i chwilowym odtajnieniu wcześniej niedostępnych archiwów sowieckich odnaleziono fragmenty dokumentacji akcji represyjnych z lat trzydziestych XX w. NKWD prowadziło dokładne statystyki – Stalin potrzebował prawdziwych danych o swych ofiarach. Dzięki temu możemy dziś stosunkowo dokładnie odtworzyć obraz zbrodni dokonanej na Polakach.

W latach dziewięćdziesiątych XX w. w związku z chwilowym rozluźnieniem systemu władzy w Federacji Rosyjskiej dostęp do tych danych pozyskał „Memoriał” – rosyjska organizacja społeczna składająca się głównie z byłych dysydentów – przeciwników komunizmu, zajmująca się upamiętnianiem ofiar represji reżymu komunistycznego. Dzięki polskiej sekcji tej organizacji, działającej od lat pod kierownictwem Aleksandra Gurianowa dane na temat liczby ofiar „operacji polskiej” udało się wprowadzić do obrotu naukowego. Nie są one całkiem dokładne, gdyż w dokumentach NKWD z „operacji polskiej” nie ma statystyki narodowościowej. Dlatego w ostatecznym podsumowaniu ogólnej liczby polskich ofiar Wielkiego Terroru

niewielka część danych opiera się na przypuszczeniach; w ciągu dalszych badań prawdopodobnie uda się je potwierdzić.

W latach Wielkiego Terroru w Związku Sowieckim represjonowano ok. 1 proc. całej ludności tego kraju wszystkich narodowości. Wśród Polaków ten odsetek był prawie piętnastokrotnie większy. Spośród niemal 1,2 mln Polaków żyjących w ZSRS wymordowano prawie 200 tys.

W okresie międzywojennym II Rzeczpospolita była dla kierownictwa Związku Sowieckiego i Międzynarodówki Komunistycznej „awangardą światowego imperializmu”, szykującego się do nieuniknionej – według propagandy sowieckiej – wojny z „ojczyzną światowego proletariatu”. Teoretycznie stosunki polsko-sowieckie powinny być jak najbardziej poprawne, regulował je bowiem szczegółowo traktat ryski z 1921 r. Rozdział VII traktatu pokojowego zawierał gwarancje swobodnego rozwoju mniejszości narodowych na terenie Polski i republik sowieckich: Rosji, Ukrainy i Białorusi. W rzeczywistości postanowienia układu były jednak traktowane w Moskwie instrumentalnie i wybiórczo.

Na początku lat dwudziestych stosunek władz II Rzeczypospolitej do problemu ludności polskiej pozostaje za wschodnią granicą cechował pragmatyzm. Z upływem czasu zaczęły być one zupełnie bezradne w obliczu indoktrynacyjnych metod państwa totalitarnego. Komunistyczne eksperymenty z polską ludnością kresową odbierano przeważnie jako kolejną tradycyjną rosyjską próbę depolonizacji terenów „za Zbruczem”. Początkowo polskie władze, powołując się na rozdział VII traktatu ryskiego, podejmowały próby otoczenia Polaków w ZSRS opieką i zapewnienia im względnej eksterytorialności. Naiwnie zakładano lojalność obywateli sowieckich narodowości polskiej wobec ich odrodzonej historycznej ojczyzny jako coś zrozumiałego samo przez się. W związku z tym władze polskie przez jakiś czas snuły np. iluzoryczne plany utworzenia i kontrolowania polskiego systemu szkolnictwa na terytorium sowieckiej Ukrainy i Białorusi. We wrześniu 1921 r. Rada Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej przyjęła nawet postanowienie o przeznaczaniu 4 mln marek miesięcznie na finansowanie szkół znajdujących się za wschodnią granicą. Niestety, pieniądze te nigdy nie zostały wydane zgodnie z przeznaczeniem.

W drugiej połowie lat dwudziestych i na początku lat trzydziestych, w miarę stabilizowania się sytuacji politycznej w Europie, a także coraz szerszego uznawania ZSRS przez mocarstwa zachodnie, zmienił się stosunek polskiej prasy i społeczeństwa polskiego do sowieckiej polityki narodowościowej. Polskie stanowisko w tych sprawach zaczęły cechować pragmatyzm i uznanie istniejących realiów. Proces pozbywania się

iluzji co do możliwości zachowania *status quo*, jeśli chodzi o sytuację Polaków na tzw. dalszych Kresach (tak nazwano ziemie dawnej Rzeczypospolitej, które na mocy traktatu ryskiego weszły w skład ZSRS), odzwierciedlał na swoich łamach „Kurier Wileński” z 10 kwietnia 1927 r.:

„Niewielki i niebogaty jest ten swoisty Piemont komunistów polskich (Marchlewszczyzna). Chodzi, bowiem nie o jakiś ośrodek, zdolny do rozwoju, lecz tylko i wyłącznie o centrum agitacyjne [...]. Bolszewicy włożyli w rejon polski pokaźne sumy pieniędzy, aby podnieść dobrobyt jego mieszkańców, których zadaniem jest – oczywiście – tworzyć kadry agitatorów, przeznaczonych na eksport do Polski. Po przeciwnej stronie kordonu granicznego organizują walkę ludzie idący do niej z całą energią fanatyków idei. Niech nikt nie mówi, że tam są tylko najemni agitatorzy [...]. To nie *homines novi* (ludzie nowicjusze), pracujący dla złota bolszewickiego. Większość z nich to ludzie, którzy przed wojną i w jej początku byli w szeregach organizacji rewolucyjnych i niepodległościowych, gotowi do walki o Polskę. Jeżeli dziś znaleźli się pod komendą Kremla, to uczynili to, rozporządzając bronią niełatwą do zwalczania: wiarą. Przeciwko nim trzeba dziś uruchomić nasze zasoby ideowe i podjąć walkę w skuteczne, niechybne metody”.

Możliwości Polski w sprawie „uruchomienia swych zasobów ideowych” ograniczało jednak nie to, że tych zasobów było niewiele, lecz to, że brakowało narzędzi dostarczenia ich do odbiorców – Polaków w Związku Sowieckim.

System autonomii polskiej w ZSRS wywoływał uzasadnione obawy władz polskich. W kręgach rządowych II RP zdawano sobie sprawę z tego, że sowieckie posunięcia w tej dziedzinie zagrażały interesom polskiej polityki zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej. Jeden z czołowych polskich dyplomatów w ZSRS Piotr Kurnicki w swoim raporcie trafnie ujmował zakrojone na szeroką skalę sowieckie posunięcia wobec polskiej ludności kresowej:

„Rejon Marchlewski jest swego rodzaju laboratorium, w którym odbywa się doświadczenie zaszczepiania komunizmu ludności polskiej, a więc i warunki towarzyszące temu doświadczeniu usiłują stworzyć „idealne”. Na laboratorium to zwrócona jest uwaga zarówno miejscowych, jak i centralnych władz partyjnych i państwowych. Wreszcie rejon ten ma się stać atutem propagandy na forum międzynarodowym, a przede wszystkim w stosunku do Polski”.

Ta charakterystyka odzwierciedlała istotę sowieckiej polityki wobec ludności polskiej. Piotr Kurnicki nie

bez podstaw charakteryzował jej reakcję na tę politykę nie jako zwycięstwo ideologii komunistycznej, lecz jako wynik zastosowania przymusu i „pogodzenie się Polaków z ustrojem komunistycznym jako ze złem koniecznym”.

Możliwości polskiej dyplomacji, jeśli chodzi o obronę Polaków przed sowietyzacją i represjami, były bardzo ograniczone. W styczniu 1929 r. w Związku Sowieckim działało sześć polskich przedstawicielstw dyplomatycznych – poselstwo w Moskwie i pięć konsulatów: w Leningradzie, Mińsku, Charkowie, Kijowie i Tbilisi (Tyflisie). Ich związki z miejscowymi skupiskami polskimi polegały przede wszystkim na udzielaniu im pomocy charytatywnej oraz materialnym wspieraniu rodzin uwięzionych Polaków. W latach dwudziestych istniała też możliwość niesienia pomocy represjonowanym Polakom przez wymianę więźniów politycznych. Gdy nasilił się terror antypolski, takich operacji już nie przeprowadzano.

Po rozpoczęciu masowych represji przeciwko Polakom w Związku Sowieckim wydatki polskich przedstawicielstw dyplomatycznych w ZSRS na pomoc materialną dla represjonowanych Polaków stanowiły znaczną część budżetów tych placówek. Pomoc ta była przekazywana zazwyczaj za pośrednictwem sowieckiego Czerwonego Krzyża, a niekiedy trafiała prosto do potrzebujących. Strona sowiecka uzależniała możliwość świadczenia pomocy Polakom w ZSRR od swobody działania w Polsce tzw. Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. Na polecenie Międzynarodówki Komunistycznej zajmowała się ona pomocą lewicowym więźniom politycznym w polskich więzieniach.

W latach trzydziestych możliwości udzielania pomocy charytatywnej represjonowanym Polakom jeszcze bardziej się skurczyły. Sowieckie organy bezpieczeństwa nie szczędziły wysiłków w celu maksymalnego izolowania polskich placówek konsularnych. Polakowi będącemu obywatelem sowieckim każda styczność z polskim konsulem groziła surowymi konsekwencjami. W okresie Wielkiego Terroru strach przed jakimkolwiek kontaktem z polskimi placówkami był tak ogromny, że pracownicy ambasady, a przede wszystkim konsulatów, nie byli w stanie wezwać lekarza do chorego, znaleźć fachowca do naprawy czegośkolwiek czy osoby do sprzątnięcia budynku swej siedziby. Szczególnie dokuczliwy był brak możliwości zakupu towarów żywnościowych na wolnym rynku. Nałożono również wysokie cła na przywóz artykułów spożywczych z Polski. Zastosowano taktykę odcięcia polskich dyplomatów od wszystkich źródeł informacji i kontaktów z miejscową ludnością polską. Konsul generalny RP w Kijowie Jerzy Matusiński pisał w raporcie do MSZ, że w celu uniemożliwienia polskim dyplomatom swobodnego poruszania się samochodami pod gmachem konsulatu w dzień i w nocy

stały dwa samochody z agentami NKWD, którzy mieli śledzić wszystkie poczynania Polaków poza placówką. Konsulat został pozbawiony połączenia telefonicznego z Warszawą, a na połączenie z ambasadą RP w Moskwie trzeba było czekać od kilku do kilkunastu godzin.

W obliczu kolejnej fali antypolskiego terroru nasilały się nastroje emigracyjne. Już w latach 1930–1931 do polskich konsulatów zwracali się liczni Polacy, błagający o umożliwienie im wyjazdu do Polski. Sytuacja zrobiła się tak paląca, że ambasador RP w Moskwie Stanisław Patek zwrócił się w tej sprawie do ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego. Apelował, by mimo trudnej sytuacji ekonomicznej Polski ze względów humanitarnych umożliwić prześladowanym Polakom przyjazd do kraju.

Paradoks tej sytuacji polegał jednak na tym, że to nie od polskich władz zależało, czy zgłaszający się rodacy będą mogli wyjechać do kraju. Petent, który został uznany przez konsulat za obywatela polskiego i otrzymał polski paszport, potrzebował jeszcze wizy wyjazdowej, wydawanej przez władze sowieckie. Wizy takie przyznawano jedynie w wyjątkowych okolicznościach. Kijowski konsulat wydał w ciągu sześciu miesięcy 1933 r. ponad 3 tys. zezwoleń na wjazd do Polski osobom pragnącym opuścić Związek Sowiecki, ale tylko trzy z nich uzyskały wizy wyjazdowe i faktycznie mogły wyjechać.

Niestety, należy uznać, że pod wieloma względami polska dyplomacja nie spisała się najlepiej w niesieniu pomocy prześladowanym Polakom. Jej działania paraliżowały strach przed możliwą inwigilacją kraju przez agenturę komunistyczną i świadomość trudnej sytuacji ekonomicznej Polski. Kontrastowało to wyraźnie z postawą dyplomacji niemieckiej, która robiła o wiele więcej dla rodaków prześladowanych w Związku Sowieckim. W okresie Wielkiego Głodu, w latach 1932–1933, dyplomaci niemieccy wymogli na władzach sowieckich zgodę na opuszczenie ZSRS przez 23 tys. obywateli tego kraju narodowości niemieckiej.

Z nastaniem Wielkiego Terroru możliwości opiekuńcze polskiej dyplomacji skurczyły się prawie do zera. Polska ambasada w Moskwie, a w szczególności polskie konsulaty, przekształciły się w oblężone twierdze. Każdy krok polskich dyplomatów był śledzony przez NKWD. Wobec pracowników placówek dyplomatycznych stosowano różnorodne szykany, aby uniemożliwić im wykonywanie obowiązków służbowych. Jak pisał w swym sprawozdaniu z Kijowa dla ambasady polskiej w Moskwie konsul generalny Jerzy Matusiński, agenci NKWD prawdopodobnie otrzymali rozkaz zastraszenia pracowników konsulatu. Po wyjściu z budynku pracownika placówki agenci podążali za nim krok w krok. Nie pozwalali mu

zamienić nawet kilku słów z przypadkowo spotkanymi przechodniami, prześladowali w sklepach, w tramwajach. Podczas spaceru w parku potrafili bez skrępowania usiąść na tej samej ławce.

W sierpniu 1938 r. szykany wobec polskich dyplomatów przybrały nową formę, niewyobrażalną w międzynarodowych stosunkach dyplomatycznych. Agenci NKWD zaczęli chodzić za pracownikami konsulatu ramię w ramię, starając się przy każdej nadarzającej się okazji potrącać ich łokciami. Garaż konsulatu został zablokowany przez samochody NKWD i nawet konsul generalny nie mógł korzystać z aut należących do placówki. Szykany wobec polskich dyplomatów ustały dopiero po zastosowaniu przez Polskę działań odwetowych wobec dyplomatów sowieckich w II Rzeczypospolitej. Porozumienie w tej sprawie zostało podpisane 21 sierpnia 1938 r.

Przedstawione fakty świadczą o tym, że polska dyplomacja w latach trzydziestych była – z konieczności – tylko biernym obserwatorem tragedii polskiej ludności kresowej. Mogła jedynie ze współczuciem przyglądać się ludobójstwu Polaków i informować o nim polskie władze. Możliwości jej działania w warunkach stalinowskiego systemu totalitarnego były bardzo ograniczone, a wraz z nadejściem Wielkiego Terroru właściwie zniknęły. Realne mechanizmy nacisku na władze sowieckie również były bardzo słabe, a te minimalne możliwości wpływu na ZSRS w celu ulżenia tragicznemu losowi

Polaków – obywateli tego państwa – nie zostały wykorzystane. Polsce pozostała rola pasywnego obserwatora tych dramatycznych wydarzeń.

Tragiczne wydarzenia sprzed osiemdziesięciu lat są w dzisiejszej Polsce niemal nieznane. W czasach komunizmu był to temat tabu, jednakże w odróżnieniu od tragedii katyńskiej lub wołyńskiej pamięć o „operacji polskiej” nie została przywrócona. Można to łatwo wytłumaczyć: o upamiętnienie ofiar Katynia lub rzezi wołyńskiej zatroszczyły się ich żyjące w Polsce rodziny, które, ciesząc się wysokim statusem społecznym, często miały możliwość zabierać głos w ich imieniu, zwłaszcza po upadku komunizmu. Zamordowani podczas „operacji polskiej” takich opiekunów nie mają. Ich bliskich albo zamordowano razem z nimi, albo wysiedlono w głąb ZSRS i poddano sowietyzacji.

Dziś musimy zatrzymać dalsze zacieranie pamięci historycznej narodu i przywrócić pamięć o tej wyjątkowej zbrodni. „Zapomniane ludobójstwo” nie ma prawa być nadal zapomniane. Krew polskiego chłopca spod Żytomierza ma taką samą wartość jak krew polskiego oficera zabitego w Katyniu. W czczeniu ofiar totalitaryzmów nie powinno być Polaków pierwszej i drugiej kategorii. W toku „operacji polskiej” zginęło co najmniej dziesięć razy więcej osób, niż w Katyniu, Charkowie, Miednoje i innych miejscach zbrodni stalinowskich w latach 1940–1941. Najwyższy czas, aby przywrócić pamięć o tej straszliwej zbrodni. ■